

TYGODNIK POLSKI

MATERIAŁY OBOZOWE

Rok II (IV)

Budapeszt, niedziela 9 stycznia 1944

Nr 2 (25)

L.

DROGA POWROTNA

Sprawa niedoszłego orędzia Marszałka Pétaina w dniu 13 listopada ub. r. wciąż jeszcze wywołuje komentarze w prasie zagranicznej. Stwierdzają one pewną ewolucję zapatrywań »szefa państwa« — tak brzmi oficjalny tytuł marszałka — na zagadnienie parlamentaryzmu francuskiego i sposób kontynuowania władzy legalnej.

Podstawą systemu — tak wypada go nazwać — Pétaina w ostatnim jego sformułowaniu jest powrót do instytucji parlamentarnych. Następstwo po sędziwym, z górą 86-letnim szefie państwa, uregulowane było w dawniejszym okresie rządów Vichy w ten sposób, że zastępcą marszałka i predestynowanym jego następcą był zrazu Laval później admirał Darlan. Po przejściu Darlana na stronę przeciwną, zastępcą Pétaina w państwie ponownie ustanowiony został Laval premier rządu. Od tego czasu zaszły jednak wypadki, które skłoniły Pétaina do ponownego poddania rewizji poprzednich postanowień i wskazania drogi, która uchroniłaby Francję od wstrząsów.

Droga wskazana przez marszałka — to w pewnej mierze powrót do systemu parlamentarnego Trzeciej Republiki. Bo jakżeż inaczej nazwać przekazanie prawa wyznaczenia następcy po Pétainie, czy to na wypadek jego śmierci czy też w razie, gdyby nie mógł wykonywać swoich funkcji, Zgromadzeniu Narodowemu, złożonemu z obecnych we Francji posłów i senatorów, członków izb legalnie wybranych, podstawie poprzednich ustaw wyborczych? Nie jest to jeszcze całkowity nawrót do dawniejszych ustrojowych, ale nawiązanie do nich i to jest bardzo ważnym odcinku — w ten bowiem sposób odbywał się we Francji wybór prezydenta.

Inicjatywa marsz. Pétaina spotkała się z niechęcią okupacyjnych z przyjęciem nieprzyjacielską. »Journal de Genève« sześć dni temu opublikował list ministra von Ribbentropa wręczony przez ambasadora Abetz żywością i bezpośredniością wskazywać stopień niezadowolenia. Wskazywał na działalność kierownika niemieckiej propagandy, która nie tylko nie sprzeciw w stosunku do Pétaina, ale i twierdzi o konieczności twardego zwolania Zgromadzenia

wypowiedziało wojnę Niemcom. List stwierdza, że rządy marszałka oddalają się coraz bardziej od polityki Montoire i domaga się: 1. rozszerzenia gabinetu w sensie kolaboracji z okupantem 2. zastąpienia niektórych wyższych urzędników przez innych, którzy potrafią zapewnić sobie posłuch 3. więcej »sprawiedliwości społecznej«, aby uchronić się od zamieszek i utrzymać porządek wewnętrzny.

Komentarze szwajcarskiej gazety podkreślają znaczenie orędzia marszałkowskiego, które, choć nie ogłoszone w zamierzony sposób, bynajmniej nie utraciło swego prawnego znaczenia i ważności jako akt konstytucyjny. Uważa się, że akt stanowi porzucenie przez Pétaina wszelkiego rodzaju prób rządu »faszystowskiego i autorytarnego«. Powracając do kwestii legalnego na

Narodo-

tań, umiarkowany lewicowiec, uchodził przed wojną za zwolennika szukania możliwości porozumienia z Włochami to znaczy z Mussolinim. Po klęsce 1940 r. zajął stanowisko przyjazne dla prób współpracy prześlębranych przez marsz. Pétaina, a ukoronowanych spotkaniem w Montoire z Hitlerem. Tym większego wyrazu nabierają dzisiejsze słowa zwrócone do szefa państwa, pod którymi podpisze się we Francji wszystko, co się postawiło stuprocentowo wyłącznie na działanie rewolucyjne wewnątrz kraju, politycznie zaś tylko poza jego granicami, a zatem na komitet algierski i De Gaulle'a. Poza tymi dwiema grupami są już jedynie kolaboracjoniści entuzjaści, współpracy z Niemcami, z Lavalem, de Brinonem, Doriotem, Déatem na czele — wszyscy jednocześnie w mniejszym, większym lub największym stopniu zwolennicy systemu totalistycznego.

Rzecz charakterystyczna, że myśli zwołania Zgromadzenia Narodowego pojawiła się również w szeregach »Ruchu Współpracy«, nadbudowy kilku grup aktywistycznych. Memoriał podpisany m. i. przez Déata, jednego z najambitniejszych rzeczników współpracy i aspirantów do roli kierowniczej, ongiś teoretyka ruchu »neosocjalistów« i Dermonda, świeżo powołanego przez Laval'a na kierownicze stanowisko w ministerstwie spraw wewnętrznych, uskarża się na rozbitcie sił kolaboracjonistów. Nieprowadzenie przypisują autorzy trzem względom: prześladowaniu i zamachom, niesnaskom wśród rywalizujących z sobą przywódców oraz stanowisku rzeczników wobec prawdziwej rewolucji narodowej. »Rząd daleki od tego, aby oprzeć się na zwolennikach współpracy, działając w przeciwnym kierunku, czasami nawet przeciw niektórym z powołanych, zapytuje, co nastąpiłoby, gdyby...«

nych osób, które pozostają pod nadzorem«, powinny zebrać się jako Zgromadzenie w Wersalu »w atmosferze pieczołowicie wytworzonej«.

Publicysta genewski podkreśla, że w ten sposób instytucje republikańskie, tylekroć wyszydzane lub krytykowane przez twórców »rewolucji narodowej« znajdują u nich uznanie jako nieodzowne narzędzie przy zaprowadzeniu ładu we Francji. Istotnie okazuje się, że 70 lat republiki i instytucji republikańskich nie przeszło bez wrażenia. Francja odbyła swoją próbną drogę od republiki i demokracji do totalizmu; dziś odhywa drogę powrotną.

TADEUSZ SOKÓŁ

Przyjacielowi

B. S. — poświęcam.

*Często stajemy przed sobą oczyma w oczy :
wzrok nasz i twarze poważne i ktoś, kto by nie znał
rzekłby, że nienawiści żar nam z piersi skoczy...
a tymczasem to tylko przyjaźń przeszła przez nas.*

*Mysliły w puste noce o sobie nawzajem
serdecznym wspomnianiem słów ;
i nie raz już śpiącemu jeszcze mi się zdaje,
że ty jesteś i milczysz. Mówię wtedy — »Mów« !*

*Słów twoich nie pamiętam, ale wiem napełniono,
że śnisz mi się błękitem niezgłębionych oczu,
gdyż budzę się z melodią w piersi mojej rzewną...
i jeszcze wiem — tyś o mnie śniła też tej nocy.*

*Trudnego nie ma nic w nas. I słów nie potrzeba,
by rozpalic uczuciem to, co jest przed nami ;
ja bym ci przyjacielu przyniósł w darze niebo
i podzielił je z tobą uśmiechem i łzami.*

*Ja wiem... o, nie mów do mnie i ja nic nie powiem,
lepiej jest patrzeć w wodę myśleć to, co ty ;
woda nam jedną prawdę obojgu opowie .
widzisz? — nasze odbicie u stóp falą drży*

ictwo

zy pomocy narzędzi rzemieślniczych, a z fabryczną łączy je zależność ekonomiczna przemysłu.

o zatym przestało być rzemiosłem, ale fabryką jest jakby skrzępną formą zły starym a nowym systemem produkcji. czy owa zależność chałupnictwa od gospodarki kapitalistycznej? Otóż chałupnik nie ma rachunek, wprowadzić robotę w swój dom, na własnym warszacie, w nakładcy. Nakładca jest to dostarcza chałupnikowi surowca,

lub półsurowca dla przeróbki lub wyrobu gotowego towaru, i płaci od sztuki. Istnienie nakładcy jest dla chałupnictwa cechą podstawową. Chałupnik jako pracownik jest czymś przejściowym między rzemieślnikiem a robotnikiem — jak rzemieślnik pracuje u siebie w domu na własnym warsztacie, ale płacony jest jak robotnik, pracujący na akord w fabryce. Chałupnictwo jest niejako upośledzoną formą produkcji; upośledzoną jest również osoba chałupnika nie mająca skutecznych środków obrony przed wyzyskiem nakładcy.

Dlaczego chałupnik nie wyemancypował się? Otóż dlatego, że często nie posiada kapitału na zakup surowca; dobrze jeśli stać go na zakup warsztatu i narzędzi pracy, które nabywa na raty od nakładcy. Surowiec czasem jest dość drogi: jeśli weźmiemy np. tkactwo, to stosunek wartości pracy chałupnika do wartości przędzy w jednym metrze tkaniny wełnianej przedstawia się jak jeden do piętnastu. Dalej, chałupnik nie zawsze produkuje towar gotowy do konsumpcji, wytwarza półfabrykaty, które podlegają dalszym przeróbkom, jak np. sukno. Wreszcie chałupnik nie jest w stanie sprzedać swego towaru na odległych rynkach. Chałupnictwo jest nastawione na produkcję masową, której nie da się umieścić na rynku lokalnym; wyroby chałupnicze rozplývają się po odległych rynkach, nawet zagranicznych. Chałupnik zatem, nie mogąc wielkiego handlu prowadzić, jest wpleciony jako ogniwo w skomplikowaną maszynę systemu gospodarczego z jego polityką surowca, pieniądza, podaży, zbytu i t. d.

Chociaż chałupnictwo jest polem nowoczesnych form kapitalistycznej gospodarki, nie mniej jednak odnajdujemy je w późnym średniowieczu w miastach Włoch, Francji, Flandrii i Niemiec. Miasta te zawdzięczały swój rozwój dwóm czynnikom: rozległemu handlowi i cechom. Duże obroty handlowe tych miast spowodowały stałe zwiększanie się produkcji. Niektórzy majstrowie dochodzą do znacznych bogactw przez rozbudowę swych warsztatów i przez organizowanie pomocniczych formacji rzemieślniczych. Ci z bogaceni majstrowie stają się pierwszymi nakładcami; strzegą zaszczytnego tytułu majstra, który daje prawo do prowadzenia samodzielnego przedsiębiorstwa. Bywało, że tytuł majstrów zmonopolizowało kilku ludzi mających wpływ w podnójnych korporacjach miejskich i trzymało w zależności ekonomicznej masy czeladników, nie dając im możliwości usamodzielnienia się. Śladem zależności prawnej przychodzi zależność ekonomiczna. Majster — kapitalista korzysta z usług czeladnika, staje się jego nakładcą. I wtedy już powstają z tego powodu różne kwestie o charakterze socjalnym. Przeważnie jednak kończyło się na tym, że nadmiar czeladników wędrował z miasta do miasta szukając pracy. Ten specyficzny kapitalizm średniowieczny, podobnie jak kapitalizm nowoczesny także wytworzył typ chałupnika.

Różne są przyczyny powstawania chałupnictwa nowoczesnego. I tak przejście z przemysłu domowego na chałupnictwo może odbywać się w następujący sposób. Jakiś artykuł wyrabiany w danej okolicy znajduje chętnych nabywców na odległych rynkach jak np. kilimny huculskie. Zjawia się wtedy pośrednik, kupiec,

który początkowo zakupuje wyroby, a następnie gdy popyt rośnie, organizuje produkcję przez dostarczenie surowca i udzielanie kredytu na zakup warsztatu i narzędzi pracy. To zjawienie się kupca pośrednika zwykle kończy się utratą samodzielnności owego małego producenta na rzecz nakładcy, co oznacza powstanie formy chałupniczego przemysłu.

Bywa i tak, że wprowadzenie maszyny w miejsce pracy ręcznej zabija rzemiosło, ale tylko częściowo, bo nowo powstała fabryka nie zawsze jest w stanie, wchłonąć wszystkich rzemieślników i przekształcić ich na robotników. Zaczyna się wtedy nierówna walka między fabrykantem a rzemieślnikiem, który walcząc z trudnościami obniża swe potrzeby do minimum. Zjawia się wtedy nakładca, który ułatwia rzemieślnikowi jego zadanie, pozbawia go kłopotu starania się o surowiec i sprzedaży wyprodukowanego towaru; daje mu ten surowiec do przeróbki, ale zato płaci mu bardzo mało za pracę. Ów pośrednik nakładca to jakby drugi równoległy fabrykant, tylko że jego fabryka rozrzucona jest po wsiach i miasteczkach. Skutecznie konkuruje z fabryką, bo znacznie mniej włożył kapitału w swą rozproszoną fabrykę i płaci chałupnikowi bardzo niewiele. Taki właśnie miał przebieg powstania chałupnictwa tkackiego w okręgu łódzkim 1844 r.

Wreszcie przemysł chałupniczy może być planowo zorganizowany lub przez przedsiębiorców — nakładców lub nawet przez fabrykantów. Inwestycje są kosztowne i wrażliwe na zmiany koniunktury kapitał w nie włożony obciąża zbyt zmniejszoną produkcję. Chałupnictwo tego ryzyka nie daje. Jeśli zmniejsza się produkcja, to zmniejsza się bez skrupułów zamówienia u chałupników. Oczywiście organizowanie w sposób wyżej opisany chałupnictwa jest możliwe tylko tam, gdzie istnieje pewne przysposobienie ludności do danej pracy — przeważnie na gruzach zanikającego rzemiosła, lub przemysłu domowego.

Procesy powstawania chałupnictwa wskazują na to, że łączy się to z jakimiś ważniejszymi przeobrażeniami gospodarczymi, jak kryzysy, mechanizacja, zwiększenie pobytu, rozszerzenie rynków zbytu i t. p. Oczywiście nie należy sądzić, że te przeobrażenia odbywają się raptownie, z dnia na dzień. Przeciwnie, trwają one lata i dziesiątki lat niekiedy. Skąd też i chałupnictwo ulega zmianom koniunkturalnym. W pewnych okresach, będziemy mieli obok rozwijającego się chałupnictwa jeszcze walczące o swój byt rzemiosło i zepchnięty do izb wiejskich przemysł domowy. Nierzadko dla kompletu zjawi się i fabryka. Istnieją tereny takiego współzycia wszystkich form produkcji; przechodzą one różne koleje losu i mogą przetrwać lat dziesiątki i setki jak np. koronkarstwo w Belgii. Czasem jednak technika przychodzi z takim wynalazkiem, który całkowicie dystansuje pracę ręczną. Np. wynalazek samoprzadnicy zupełnie wyeliminował przędzalnictwo ręczne z przemysłu około r. 1835. Przędzalnictwo ręczne pozostało jeszcze na wsiach w przemyśle domowym.

Powstawanie chałupnictwa jest charakterystyczne dla powstawania kapitalistycznych form gospodarczych. Leży ono na pograniczu dwóch systemów, dwóch epok.

Ratując się przed niosącą zagładę maszyną rzemiosło szuka swego zbawienia w chałupnictwie.

Typy chałupnictwa, gdy chodzi o wewnętrzny podział pracy, są dość zróżniczkowane. Najczęściej spotykany typ, chałupnik pracujący sam, lub przy pomocy najbliższej rodziny. Zdarza się, że wynajmuje obcego robotnika, lub część pracy oddaje memu biedniejszemu chałupnikowi.

Różnie i nakładca nie przedstawia typu jednolitego. Nakładcy rekrutują się z pośród kupców, agentów wielkich przedsiębiorstw i mniejszych fabrykantów. Bywa wreszcie tak że w jednej osobie łączy się chałupnik i nakładca; gdy np. ustosunkowany i zasobniejszy chałupnik zdobywa sobie monopolistyczne stanowisko pośrednika między nakładcą a jakąś grupą mniejszych chałupników. Bierze od nakładcy większą ilość surowca niż może sam przerobić i oddaje go innym chałupnikom do przeróbki, oczywiście na tym zarabiając, staje się sam nakładcą.

W 1929 r. odbyła się w Polsce wystawa przemysłu chałupniczego; dała ona pogląd retrospektywny i przedstawiała stan aktualny. Z ważniejszych dziedzin, należałoby wymienić: przemysł tkacki w okręgu łódzkim zatrudniający w 1925 r. około 12.000 ludzi, przemysł krawiecki w Brzezinach znany z wyrobu tanich męskich ubrań, jeszcze przed pierwszą wojną światową eksportowanych masowo do Rosji, przemysł bieliźniarski i obuwniczy w Warszawie, stolarski garncarski, kilimkarski rozproszony po całej Polsce.

W Niemczech zwłaszcza południowych jeszcze lat temu dwadzieścia chałupniczy przemysł tkacki zatrudniał około 100.000 ludzi. Liczny jest przemysł chałupniczy koronkarski, rusznikarski w Belgii, zegarmistrzowski w Szwajcarii,

W Polsce chałupnik był to najgorzej płatny pracownik, długi czas nie korzystał z ubezpieczeń społecznych i nie był zorganizowany w związki. Kwitnął tak zw. »Truck system« (zamienny system), polegający na wynagrodzeniu za pracę towarami, ustawowo w Polsce wzbroniony. Autor niniejszego artykułu miał sposobność widzieć w 1925 r. skrawki papieru z napisem w żargonie upoważniającym do nabycia za pewną sumę artykułów spożywczych w pewnym sklepie. Te skrawki brudnego papieru, to były »bankoty« emitowane przez nakładcę. Opieka prawna nad chałupnikiem jest dość utrudniona. Nie zawsze chałupnicy mieszkają z warcie i nie wszyscy utrzymują się wyłącznie z pracy chałupniczej. Wielu z nich traktuje chałupnictwo jako dodatek do swej pracy na roli. Pracują też za bardzo niską płacę i robią konkurencję tym, którzy muszą zarabiać na mizerne utrzymanie.

Chałupnicy nie stanowią jednolitego typu, a niekiedy mają wręcz sprzeczne interesy. Stąd też trudności w organizowaniu związków zawodowych i w podjęciu wspólnej walki o poprawę bytu. Tak samo niemożliwe byłoby zastosowanie 8-godzinnego dnia pracy, który normalnie trwa od 12 do 16 godzin. Warunki są niedostateczne, a czasami wręcz zabójcze dla zdrowia.

TADEUSZ FANGRAT

Gwiazdka praczki

*Przy ulicy drogich witryn promieniejących
jak sezamu ilustrowana opowieść,
porodziła praczka czerwonego brzdąca,
na czwartym pięttrze przy pracy
w ponurej alkwowie;
porodziła bez świadków, sam na sam z swym bólem
i jęczała żałośnie:*

*»Lulajże mi, lulaj.«
i pieściła mu ciałko technicnem płuc zmartwiałych
i szeptała z uśmiechem:*

*»Gwiazdka moja mała« . . .
A w drzwiach czyhała nęcza w mgłach gryzących mydlin
zasuwając dokładnie od ulicy rygle! . . .
A na dachu blask słońca pisał w śniegu skargę,
że nie może przez mury do alkwowy wtargnąć . . .
A w witrynach jak w szczęścia kole obrotowym
grały srebrem nadęte podarki gwiazdkowe.*

Przemysł chałupniczy tylko tam może dyktować warunki, gdzie posiada wyłączność produkcji, gdzie albo przemysł fabryczny jest niewystarczający lub też nie stoi wysoko technicznie. Wszędzie gdzie istnieje duża konkurencja fabryki zwłaszcza techniczna, chałupnictwo utrzymuje się kosztem dużych ofiar.

Istniałoby jeszcze jedno wyjście dla chałupnictwa: to spółdzielnia wytwórcza. Organizacja spółdzielcza zastąpi chałupnikowi nakładcę: da mu surowiec i udzieli małego kredytu. Aby jednak mogło to się urzeczywistnić, spółdzielnie wytwórcze musiałyby naprzód stoczyć zwycięską bitwę o rynki zbytu; a to znów byłoby możliwe tylko wtedy gdy spółdzielczość objęła duże masy konsumentów. Ale do tego w Polsce i prawie na całym świecie bardzo daleko. Zresztą związki spółdzielcze spóżywców, gdy organizują własną produkcję, zwracają się raczej ku bardziej nowoczesnej formie produkcji — fabryce.

Małe spółdzielne wytwórcze, składają się nie tylko z samych wytwórców — rzemieślników, musi ktoś zająć się stroną handlową i finansową. Z reguły taki kierownik handlowo finansowy wybija się na czołowe stanowisko gdyż od jego pracy zależy los spółdzielni. Nie ma zbytu na towary, to staje produkcja. Kierownik ten ma tendencję do usamodzielnienia się. Często się kończy tym, że współwłaściciele kooperatywy rzemieślnicy stają się chałupnikami a ich nakładcą był kierownik spółdzielni.

Przy dzisiejszej rozbudowie życia ekonomicznego jego skomplikowanego aparatu handlowego i finansowego chałupnik ma coraz mniej przyszłości, wypiera go fabryka. Tu i ówdzie może chałupnictwo odegrać pewną rolę, może przedłużyć swoją egzystencję tam, gdzie wielki przemysł jeszcze nie dotarł, gdzie oddalony od fabryki rynek zbytu zadawała się wyrobami chałupniczymi, gdzie maszyna jest jeszcze zbyt drogą inwestycją i wreszcie tam, gdzie pracy ręcznej nie zdystansowała maszyna.

ROMAN SIEROCIŃSKI

PIESZO DO BALATONU

»Ludzie są dobrzy!« Słowa te wypowiedziałem do mego towarzysza wycieczki, gdy strudzone nasze nogi odrabiały ostatnie kilometry drogi z nad uroczego Balatonu. Powód do tego wykrzyknika dało mi zetknięcie się z przygodnymi towarzyszami podróży tak wśród naszych gospodarzy jak i rodaków, a także krótki pobyt w paru obozach cywilnych, o które zawadziłem.

Wymarsz na tę wycieczkę nastąpił w rześmy, pochmurny ranek sierpniowy, kiedy to maszerowaliśmy z rodzinnego Zalabernu do bratniego Zalaszentgrótu aby po minięciu tej naszej metropolii wejść na drogi nieznanne. Krocząc po rozległej, płaskiej dolinie Zali powtarzam sobie: »Patrz i uważaj! Przecież to jest cud natury podziwiany przez autorów węgierskich! Ta dolina wywiniana jest przez wiatr, a pasmo wzgórz przed nami to »jardang« działowy między doliną Zali a dorzeczem Marcali!« I rzeczywiście, ta lekko falista zakłęskłość, nęcąca oko lanami kukurydzy i kopkami żółtej pszenicy, tak bardzo przypominająca swą rozległością nasze pradolinę polodowcowe, przy baczniejszej obserwacji zdradza inne pochodzenie. Brak tu starych, opuszczonych koryt rzecznych, a także tarasów jako śladów erozji wodnej.

Gdyśmy się znaleźli już w obrębie pasma wzgórz działowych, zapytany gospodarz, jadący krowami po zboże, zatrzymał się na pogwarce i wskazał nam krótszą ścieżkę na drugą stronę grzbietu. Jak zwykle w obrębie pasma wzgórz »Zadunaja« (Dunántúli) krajobraz otaczający pieści oko swą malowniczością. Z zieleni stoków pokrytych winnicami na przemian z sadami wyłaniają się białe ściany piwnic i zagród.

Spotkana kobieta prowadzi nas ścieżką między winnicami, a po drodze jak to zwykle rozpytuje się o nasze rodziny i ich losy, opowiadając o sobie, że jest uboga, że ma pięcioro dzieci i musi ciężko pracować z mężem na ich utrzymanie. Cały ciężar podtrzymywania tej rozmowy spada na Stefana, bo ja słucham tylko jednym uchem, gdyż jestem pochłonięty znalezieniem na drodze pierwszych kawałków bazaltu, a więc teren »mezy« bazaltowej (stoliwa) już blisko.

I rzeczywiście we wsi Kis Görbe, gdzie się żegnamy z naszą przewodniczką, kamień ten stanowi najważniejszy materiał budowlany. Mury przy zagrodach przypominają naddniestrzańskie strony z podobnymi murami z piaskowca trembowelskiego.

Poczucie braterstwa słowiańskiego każe nam wdać się w rozmowę z robotnikami chorwackimi, pracującymi przy budowie mostu, jednak ze skutkiem ujemnym, gdyż moje wypytywania o warunki pracy nasuwają widocznie podejrzenia, że chcemy im zrobić konkurencję. O parę kilometrów dalej spotykamy zato podobną grupę Słoweńców, z którymi po krótkiej wymianie słów rozstajemy się z serdecznymi życzeniami pomyślności.

Ten pierwszy dzień naszej wycieczki ma charakter

zdecydowanie słowiański. Gdy we wsi Nagy Görbe siedzimy w gospodzie przy naszych zapasach i winie, podanym nam przez dziewczę o kształtach rubensowskich, zjawia się starsza kobieta, jak się okazało jej babka ze słowami: »Ja sem Słowaczka!« Opowiada nam o śmierci swego męża i syna, a zaginięciu drugiego syna na froncie wschodnim... Słowa jej wciąż przerywa wołanie na babcię ze strony stoły, gdzie czeka właśnie wóz ze snopami. U obu nas powstaje jednocześnie myśl: »Pomóc!« Na wozie stoi wnuczka i jak piórka rzuca snopy, które ja z babcią podajemy łańcuszkiem do sąsiada. Po tej manifestacji braterskich uczuć, w której wzięła udział nawet prapabcia, rozczulona nasza rozmówczyni odprowadza nas bo podnóża góry i błogosławi na rozstajnych drogach, gdy my życzymy jej rychłych wiadomości od syna.

Pełno tu na drodze odłamków bazaltu, bo przecież właśnie przecinamy w poprzek mezę bazaltową Kovács Hegy. Rośnie tu las o bujnym podsyciu, wśród którego obserwujemy dwumetrowej wysokości paprocie oraz ze zdziwieniem stwierdzamy wśród drzew leśnych obfitość kasztanów jadalnych. Oglądamy niewielki kamieniołom bazaltu, który tak się rozdziela na szopy i warstwy, że rękami można wybierać gotowe kamienie do budowy.

Gdy niebawem otworzył się przed nami widok na wyniosły, lesisty szczyt Tatika Hegy, uwieczony ruinami, Stefan wykrzyknął: »Tam musimy wejść!« Ja byłem zwolennikiem drogi na wprost, lecz uległem zdaniu mego towarzysza, popartemu autorytetem przechodzącego »krajowca«, aby wybrać drogę okrężną, zresztą o słuszności tego wyboru, świadczyła wymownie piętrząca się przed nami ściana bazaltowa.

Nasze kołowanie wśród pięknego lasu dookoła podnóża góry zostaje nagle powstrzymane widokiem tablicy z groźnym »tilos«, co przypomina mi, jak to moje zapędy krajoznawcze w górach Berżeńskich znalazły swój finał w aresztowaniu mnie przez gajowego i odprowadzeniu pod groźą wycelowanej dubeltówki do samego pana posła do parlamentu. To też dalej błądzimy wśród lasu i rumowisk bazaltowych z zachowaniem wszelkiej ostrożności, spotęgowanej pod samym szczytem dochodzącymi stanitąd głosami rozmowy. Gdy niemal bezszereśnie skradamy się ku ruinom, ostrożny wywiad wykazuje bezprzedstawność naszych obaw, gdyż odgłosy pochodziły od grupy wcale niegroźnych turystów.

Leżąc zziębnięci i głodni wśród bazaltowych ruin orzekamy, że jednak nasze wysiłki opłaciły się. Widok cudowny! W dwóch miejscach niebieszczy się nasz cel ostateczny — Balaton! U nóg — kotlina Zalaszentó i Alsószidu ze śmiesznyimi, białymi domkami, a dalej wynurzają się stożki wulkaniczne kotliny Tapolcańskiej z Badacsony na czele. Rzut oka w tył okazuje nam kotlinę Sümegu oraz sfalowane morze »Jardangów« zalskich. Schodząc dogodną (nawet znakowaną) ścieżką, podzi-

wiamy potężne, półtora metrowej grubości buki, a na jednym z nich siedzącego w gnieździe czarnego bociana, który i u nas stanowił pieczołowicie ochraniają osobliwość

W godzinach przedwieczornych schodzimy do celu dzisiejszego dnia — dużej wsi Alsózsídu. Przy pomocy miejscowych Polaków udaje się nam odszukać starszego obozu, który właśnie wyłania się przed nami z za fury obłożonej snopami. Tłumaczy nam on swoją nieobecność chęcią przyjscia z pomocą gospodarzowi przy zwożeniu snopów. O zaofiarowanej przez nas pomocy w rozładowaniu wozu nie chce wcale słyszeć. Prowadzi więc do swego mieszkania i roztacza przed nami prawdziwie staropolską gościnność z wodą do mycia i wymoczenia nóg na czele.

Przyznam, że z żalem żegnałem nie tylko serdecznego gospodarza, ale i miłą wioskę, która zrobiła na mnie dodatnie wrażenie. Bazaltu tu pod dostatkiem, więc zabudowania solidne i porządne. Długie, wąskie domy ustawione szczytem do ulicy, a w każdym z nich mieści się parę odrębnych rodzin, prowadzących osobne gospodarstwa. Duży kościół o surowym, gotyckim wnętrzu, wielki sklep »Hangyi«, obfitość spotykanych koni, wszystkie te cechy świadczą dodatnio o zamożności wsi.

Na drugi dzień rano, idąc po białych dolomitowych drogach gór keszthelyskich, obserwujemy ciemną zielen pięknych lasów, wśród których miłą dla naszego oka jest duża obfitość sosny, i słuchamy krew nurożących w żyłach szczegółów, które opowiada nam niedawny przybysz ze stron północnych, a który wraz z p. S. ofiarował się odprowadzić nas kawałek drogi. Widok dwóch zakurzonych zmęczonych osobników, szukających przytułku w obozie w Keszthely, nie robi dobrego wrażenia w kancelarii obozowej, szczególnie wobec wielkiego przepełnienia schroniska. Dopiero nasze wyjaśnienie, że łakniemy przytułku tylko na dwie — trzy noce rozchmurza oblicza i już niebawem zostajemy ulokowani i siedzimy przy obiedzie w towarzystwie naszych kolegów obozowych, przybyłych tu dla podratowania zdrowia w cieplicach Hévíz. Obserwujemy tu inne warunki życia obozu miejskiego z możliwościami większego zatrudnienia pracowników umysłowych. Zresztą rozmowy nasze toczą się przeważnie dookoła Balatonu, to też niedługo już płyniemy łódką po zielonych falach jeziora i zażywamy kąpieli, splukując z siebie kurz dwudniowej niemal włóczęgi.

Gdy na drugi dzień muchy już niemal o świcie spędzają mi sen z powiek, nagle decyduję się i już niezadługo siedzę na statku o dźwięcznym imieniu »Csöngör«, wyruszającym na swój codzienny rejs wzdłuż jeziora. Kręcąc się wśród beztroskiego tłumu turystów, wśród których nie brak grupy naszych rodaków, patrzę na zielone fale jeziora i przychodzą mi na myśl inne szaro-niebieskie fale i mimowoli oko szuka znanego dobrze zarysu portu z jego lasem kranów.

Od tych refleksji odrywa mnie pociągająca oczy panorama pobraża północnego z malowniczym krajobrazem Riviery balatońskiej, nad którą wznoszą się lesiste wyniosłości wzgórz Keszthelyskich. Za Balatonygyörök wyłaniają się malownicze wzgórza Szigligetu, a za nimi charakterystyczny stożek Badacsony.

Jest to bodaj czy nie najpiękniejszy zakątek pobraża Balatonu. Bezpośrednio niemal od fal jeziora wznosi się wyniosły ścięty stożek. Stoki jego wklęsłe, początkowo łagodne z wieńcem osiedli i will, stopniowo przechodzą w winnice, aby pod szczytem przejść w ciemną zielen lasów na stromych, a miejscami urwistych stokach.

Idąc wygodną, dobrze znakowaną, ścieżką turystyczną, spoglądam na rozścielający się u stóp Balaton z wyniosłościami Fonyódu i Bogláru na drugiej stronie. W pewnym miejscu znęciła mnie wyglądająca zza drzew ściana bazaltowa, opuszczam więc ścieżkę i pnę się po rumowisku przypominającym maliniaki stożków nasypowych, po których kiedyś piąłem się z Doliny Pięciu Stawów ku Szpiglasowej Przełęczy. Powtarzam sobie co parę kroków: »Uważaj! Buty niepodkute!« Uderza bujność roślinności, wywołana żyznością gleby bazaltowej. Las, liściasty podszyty gęstwą krzaków i pnaczy. Po pokonaniu ostatniego urwiska jestem na rozległym płaskim szczycie stoliwa, posiadającego niewielką tylko kulminację, zbudowaną podobnie jak u innych tego rodzaju stożków z gąbczastego tufu bazaltowego. Schodząc po przeciwnej stronie stożka między wyniosłymi słupami Bramy Kamiennej (Kőkapu) patrzę na wspaniałą panoramę kotliny Tapolcańskiej z panującym wśród niej stożkiem St. György i bliższym lesistym Gulácssem. Po zejściu nadół koło wielkiego kamieniołomu przemysłowego, tworzącego prawdziwą ranę w krajobrazie odczytuję na tablicy odległość 21 kilometrów do Keszthely, które mają dziś jeszcze przemierzyć moje nogi.

Południowy upał i zmęczenie nie pozwalają mi udzielić więcej uwagi krajobrazowi i obserwacji malowniczej autostrady, wijącej się między brzegiem Balatonu a lesistymi stokami wzgórz keszthelyskich. Idąc wśród schłodzonych wiosek, ciągnących się nieprzerwanym łańcuchem wśród winnic Riviery Balatonskiej po paru godzinach wchodzę do Keszthely.

Zwiedzenie bogatego muzeum balatońskiego zajęło mi całe przedpołudnie. Gdy znalazłem się wśród przekrojów geologicznych, wyciągam notatnik, aby naszkicować najważniejsze z nich. Czynność tę przerywa mi głos: »Nem szabat« posługaczki, która żąda zdeponowania ołówka w kasie. Moja interwencja u dyrektora ratuje sytuację, dając mi możność zanotowania interesujących mnie szczegółów.

Gdy przy przystanku autobusowym pytamy o bliższą drogę do słynnego ze swych cieplic Hévíz, przysłuchująca się temu kobieta ofiarowuje się nas tam odprowadzić, a nawet okazuje się, że dalsza nasza droga powrotna prowadzi przez rodzinną jej wieś Nemesbük. Nasza towarzyszka podróży oświadcza nam od razu, że Polaków dobrze zna, bo mieszkali u niej członkowie miejscowego obozu i bardzo ich lubi. Jak zwykle musimy jej opowiadać o naszych rodzinach, a ona nam mówi o różnych swych kłopotach.

Wychodząc na peryferie osiedla, przypominającego nasz Ciechocinek, dostajemy nowego towarzysza podróży w osobie Polaka, członka obozu w Nemesbük, którego przedstawia nam nasza towarzyszka. Trzepie on po węgiersku, jak po polsku, każdą z napotkanych osób zna i potrafi do niej zagadać o sprawach ją interesu-

jących, czym widocznie potrafi sobie zjednać ich sympatię. Na moją uwagę na ten temat, odpowiada, że jest kupcem z zawodu i fach jego wymaga takiego postępowania.

Niebawem przechodzimy przez miły zakątek winnic, a we wsi żegnamy się z naszą towarzyszką podróży, na prośbę poznanego w drodze członka czołu wstępujemy na chwilę do świetlicy obozowej, po czym odprowadzani przez niego do końca wsi rozmawiamy o ciężkich warunkach życia niewielkiej grupki ludzi, zagubionej na zapadłej wsi, szczególnie w zimie i w czasie wiosennych roztopów. Wielka jest rola w takiej grupie energicznych i ideowych jednostek, które potrafią zorganizować odpowiednio życie zbiorowe, oparte na pracy i w ten sposób uchronić wiele jednostek od wykołajenia się.

Rozmawiając w ten sposób, zaczynamy schodzić do doliny bliskiej nam już Zali. Następuje generalne wypróźnienie plecaka z zapasów i długi marsz w ciemnościach przez wsię, nadzalskie. Niebawem przed Zalasent-grotem zamykamy koło naszej wędrówki, wkraczając na znane nam drogi.

Przy wylaniającej się tarczy księżycy wlecemy się ostatnie kilometry w towarzystwie młodego chłopca »levente«, z zachwytem opowiadającego nam o pięknym, historycznym filmie, który oglądał w kinie zalasent-groczkim.

To ostatnie spotkanie zakończyło łańcuch przyjaznych nam ludzi wraz z łańcuchem kilometrów, które dobrze już czuliśmy w nogach.

Uniwersytety chińskie

W ciągu ostatnich dwudziestu lat Chiny uczyniły duży wysiłek, aby unowocześnić swój system szkolnictwa. Uczeń z Europy i Ameryki napływali, aby uzupełnić kadry profesorskie na uniwersytetach. Równocześnie uniwersytety europejskie i amerykańskie przyjmowały studentów chińskich, którzy po powrocie do kraju ojczystego nauczali tam wedle metod wiedzy nowoczesnej. Wpływ francuski w Szanghaju, anglosaski w Nang-kingu, w Pekingu i w innych jeszcze uniwersytetach był mocno widoczny.

Uniwersytety cieszyły się w Chinach dużym wzięciem i powagą. Początkowo zarzucano im w prawdzie, że w praktyce przeznaczony są jedynie dla bogaczy i że szerzą wśród młodych ludzi zamiłowanie do zbytku szkodliwe dla poważnych studiów a niebezpieczne dla środowiska rodzinnego. Istotnie trudno zaprzeczyć, że wiele młodych Chińczyków i Chinek przebywało tam przez pewien czas wyłącznie w tym celu, aby nabrać

polu kultury zachodniej i zastosować się do bieżącej mody. Bezwątpienia jednak Chiny dzisiejsze zawdzięczają bardzo wiele swoim uniwersytetom.

W Pekinie, który przed wojną i okupacją ze starego miasta cesarskiego stał się miastem nauki, było siedem wielkich kolegiów. I tu w starych przerobionych pałacach, bądź w nowych żelbetowych gmachach skupiała się młodzież ze wszystkich stron olbrzymiego obszaru chińskiego. Chiny nowoczesne, Chiny starodawne, Chiny wszystkich czasów, wszystko to żyło zmieszane w Pekinie — opowiada reportaż o życiu uniwersytetów chińskich zamieszczony w »L'Illustré«. Synowie kupców z Honolulu lub Singapore, młodzi ambitni chłopcy z kantonńskiego obszaru, spokojni, wysokiego wzrostu, milczący a zdecydowani synowie Północy — synowie rybaków, synowie księży, synowie urzędników.

I dziewczęta: jedne żywe, błyszczące, artystki, studentki muzyki, żadne wiadomości, często przez swoje rodziny w Szanghaju lub gdzie indziej obeznane z zachodnim sposobem życia, inne zamknięte w sobie, o wyglądzie bezbarwnym, uparcie dążące do zdobycia wiedzy, której opanowanie sprawia im trudność. Niektóre dopiero co wyszły z osiedli praojcówskich, w których czas żadnych zmian nie dokonał. Jedne z nich przygotowywały się do wolnego zawodu, chciały poświęcić się dziennikarstwu, lub profesurze. Inne po prostu pragnęły dokonać przewrotu w obyczajach rodzinnych za pomocą nowoczesnej modnej bielizny lub przepisów kulinarnych o tyle niżej stojących od ich własnej, chińskiej kuchni. A jednak z całego tego nieco nieporządnego przedstawienia mebli wylaniało się głębokie odnowienie wielkich tradycji narodowych i nowy sposób pokonywania piętujących się trudności.

Wojna pociągnęła za sobą wielkie zmiany w życiu uniwersytetów chińskich. Większość uniwersytetów, została zamknięta przez Japończyków. Profesorowie uczniowie, książki, czasami nawet całe laboratoria zmieniły siedzibę, przeniesione w martwe dotąd miasta chińskiego wnętrza, gdzie życie umysłowe budzi się do nowego życia śladem biegu wypadków.



Z wiosną 1938 r. zarządzono ewakuację chińskich ośrodków kulturalnych. Od tego czasu 77 uniwersytetów cofnęło się z okolic nadbrzeżnych, łatwo dla Japończyków dostępnych w głąb kraju, w okolice odległe od frontu wojennego o 1500 do 3000 kilometrów. Ilość słuchaczy zwyczajnych na wyższych uczelniach przekracza dziś 50.000.

Z uniwersytetu w Sian 1500 studentów, w tym 300 słuchaczek, poszło pieszo, pokonawszy góry Tsing-Ling, do Hanchung i Chenaku, gdzie kontynuują swoje studia. Słuchacze uniwersytetu w Nankinie, w liczbie 1608, zabrali z sobą bibliotekę uniwersytecką i urządzenia laboratoriów, i odbyli w ciągu 43 dni podróż rzeką Jang-tse do Czung-kingu, oddalonego o 1500 klm. od poprzedniej siedziba uczelni. Gorzej poszczęściło się studentom uniwersytetu Sun-yatsena w Kantonie,

którzy nocą musieli uchodzić przed nieprzyjacielem, a w ciągu dnia kryli się w sitowiu rzeki.

Uniwersytety chińskie odświeżyły w nowych miejscach pobytu swoje metody nauczania, poświęcając główną uwagę zawodom najużyteczniejszym dla wysiłku wojennego. Dzięki wysiłkom ludzi, którzy wyszli z uniwersytetów chińskich, 50 milionów Chińczyków nauczyło się w ciągu lat 1938/1940 roku sztuki czytania i pisania.

Jedna trzecia studentów jest na utrzymaniu państwa. Wszyscy żyją nad wyraz skromnie, żywią się prawie wyłącznie jarzynami, mieszkają w małych barakach. U wielu znać niedożywienie. Jednakowoż odwaga ich i siła woli są niezwykłe, albowiem mają świadomość, że od ich wiedzy i patriotyzmu zależy w dużej mierze przyszłość Chin.

Diabeł w schronie

»Sie und er« przynosi reportaż z jednego z nalotów na Berlin. Napisany został na podstawie własnych wrażeń księgarza szwajcarskiego, który przejściowo przebywał w stolicy Niemiec. Obraz nastrojów w schronach i sposobów reagowania na niespodziewane momenty, których wojna nie skąpi, może zaciekawić naszego czytelnika.

»Ciemność czarna jak smoła, deszczem przesiąknięta, panowała w nocy na 23 listopada nad Berlinem. Nad rzędami domów nie można było nawet rozpoznać nieba. Nikt więc nie przeczuwał ciężkiego nalotu w chwili, gdy zabrzmiał jęk syren. Miałem około kilometra drogi do domu, gdzie u znajomych mieszkałem. Ten kawał drogi stał się teraz dla mnie krańcowo nieprzyjemny wskutek odgłosów upadających odłamków granatów obrony przeciwlotniczej; nie mniej jednak dlatego, że wszyscy pieszo idący gonili bezceremonialnie przed siebie i nabijali sobie wzajemnie guzy na głowach. Do domu, do domu! — takie było hasło, które wydawało się wszystkich przenikać paniką.

W trzypiętrowym domu omackiem przedostałem się do mojego pokoju, zgarnąłem kilka ważnych dokumentów i popędziłem jak szczyty do piwnicy schronowej w chwili, kiedy cały dom zatrząsł się od serii bomb, które padły w pobliżu.

Schron domu było to pomieszczenie, służące doraźnie swoim celom, podparte grubymi belkami drewnianymi i przeciw działaniu odłamków zabezpieczone workami z piaskiem. Na ławkach, na krzesłach i fotelach siedziało około 20 osób, w ich gronie moi gospodarze. W ciągu następnej półgodziny padło na Berlin przeszło dwa tysiące ton materiałów wybuchowych. My w małej piwnicy byliśmy w każdej sekundzie przygotowani na śmierć. Okropne było to, że nikt ani słowa nie mówił. Nikt nie odważył się spojrzeć na drugiego, bo każda twarz była zniekształcona przez paraliżujący strach. Mieliśmy uczucie, że straszliwy nalot koncentruje się tylko na nas — zjawisko, które panuje we wszystkich schronach. A potem ogłuszający trzask. Światło zgasło, wapno odpadło z

sufitu. Zapalono świece Tam na dworze milionowe miasto jęczało, rozpadało się w płonące zgliszcza. Burza ogniowa wylała dokoła domu, świece niespokojnie żarzyły się i rzucały ogniste światełka w rozszerzone źrenice ludzkich postaci, które siedziały tu skurczone a teraz powstały, kiedy dalsze siedzenie stało się nie do zniesienia.

Nagle otworzyły się drzwi od piwnicy i pilot angielski wtoczył się do środka. Można go było rozpoznać po grubym, mocno watowanym, rzemieniami spiętym odzieniu, które nosiło obce odznaki; niewątpliwie zeskoczył on przy pomocy spadochronu z podziurawionej maszyny. Puszyste portki tkwiły w nieforemnych trzewikach. Z hełmu zwisały klapy uszne i kilka drutów, pod nimi. Świeży, jeszcze jasnoczerwony strumyk krwi ściekał pod nakryciem głowy i kropelkami sączył się z podbródka na ubranie. Lotnik skierował się do jednego z kątów i oparł się plecami o ścianę, lekko wprzód pochylony, dłonie przyłożył do muru jakby szukał oparcia. Wpatrywał się w nas bez słowa, a oczy jego były tak samo pełne przerażenia jak nasze.

Upłynęła minuta w dławiącym, wzajemnym oglądaniu się. Naraz młoda zgnębiona kobieta podszła do niego i krzyknęła mu w twarz: »Djabeł!« — Krzyk przeniknął nas do szpiku kości, gorzej jeszcze niż pękające bomby. Ale teraz przynajmniej życie weszło w ludzi. Odniesiono kobietę napół zemdloną z powrotem do jej fotela, zaczęto do niej mówić w słowach uspokajających: »Niech pani to zostawi, to wszystko jest przecież bezcelowe. On tak mało jest temu winien jak i my. Rozkaz jest rozkazem. Na tym polega przecież ta przeklęta wojna, na tych rozkazach z góry, przeciw którym nikt nic nie może zrobić«. Pilot tymczasem, widocznie do głębi tą sceną dotknięty, skierował się do drzwi i chciał wyjść na dwór. Na dwór, to znaczyłoby na szczytowy punkt nalotu.

Mój gospodarz wciągnął go z powrotem, wcisnął na jedną z ławek, a dwie kobiety zakrzętały się około niego z wodą i lekarstwami. Dostał tylko paskudny, lecz pewnie-

rzuchowy strzał w głowę i teraz fachowo go opatrzone. Przyniosło mu to wyraźną ulgę, jego żmorna natura przezwyciężyła szybko poprzedni napad osłabienia. A później stało się coś wzruszającego: podniósł się, sięgnął do swoich głębokich kieszeni i fałdów swego odzienia i wydobyl stamtąd moc rzeczy do jedzenia, jak pasztet w puszkach, bułeczki i cały stos czekolady. Podeszedł do każdego i rozdzielił cały zapas. Niemowlęciu, które pomimo hałasu spało zawinięte w grube koce na łonie matki, wetknął w pieluchy banknot dziesięciofuntowy. Było tak, jak gdyby Św. Mikołaj składał swoje odwie-

dziny w uroczysty czas Adwentu. Rzeczy były zbyt smaczne, aby można było zdobyć się na ich przechowanie. Wszystko zaczęło też zajaść jak na Boże Narodzenie, a w niejedną kęs wmieszała się kojąca łza; wróg siedział pośród nich — a ten wróg był człowiekiem jak i oni. Co za niepojęta, radosna nowina! — Nalot zdawał się uspokajać. Słychać było jeszcze tylko artylerię przeciwlotniczą. Potem wpadł jakiś człowiek i zawołał: »Tam na górze pali się!« Wszyscy wypadli z piwnicy. Pilot również. Dokąd — nie wiem. Nikt z nas się o niego nie troszczył!«

STANISŁAW WADLEWSKI

BURZENIE MIAST

Wojny powodują zawsze zniszczenia, tak było dawniej, tak jest i obecnie. Wielu z nas widziało to na własne oczy, z historii zaś dowiadujemy się jakie zniszczenia były w dalekiej przeszłości.

Istniały niegdyś miasta o bogatej kulturze, które promieniowały na całe polacie krajów. Po jednych pozostały ruiny, inne znowu pozostawiły po sobie jedynie wspomnienia. Miejsce położenia niegdyś bogatego miasta Sybaris nawet nie jest znane, a po miastach Milet i Troja pozostały zaledwie ruiny; przy rozkopywaniu ruin Troi odnaleziono bogate zabytki przeszłości i ślady dziewięciu cywilizacji. Szczęściem, bogata w wydarzenia Troja pozostawiła po sobie piękne rapsody spisane przez Homera.

Wszystkie te zniszczenia nie wywołują u nas żalu z uwagi chociażby na odległość czasu. Jednak współcześni reagowali silnie, zwłaszcza gdy w grę wchodziły dzieła sztuki.

Jak wiadomo 26. września 1687 r. została uszkodzona podczas oblężenia świątynia Ateny Partenon z posągami Ateny, wykonany przez Fidiasza. Gdy o tym dowiedział się dowódca wojsk oblężniczych Francesco Marosini, wyraził on szczery żal, a współcześni oskarżyli go nawet o wandalizm, mimo że winni byli oblężeni, gdyż w świątyni przechowywali prochy który przypadkowo został zapalony przez pocisk.

Na Bałkanach są okolice, gdzie rzadko można spotkać domy zbudowane przed stu laty. Nieustanne wojny zniszczyły je.

Zniszczenia obecne są straszne i mogą być jedynie porównywane z żywiołowymi klęskami starożytności np. z legendarną Sodomą i Gomorą oraz Pompeją zniszczoną przez trzęsienie ziemi (63 rok) i wybuch Wezuwiusza (79 r. po Chr.). Wówczas całe miasto wraz z pozostałą jeszcze ludnością zostało zasypane lawą. Dziś tysiące ludzi zostają pogrzebane pod gruzami domów, burzonych bombami i minami powietrznymi, a powstające cyklony od pożarów, spowodowane przez bomby zapalające i fosforowe, potęgują grozę sytuacji.

Niektóre miasta w czasie ostatniej wojny przestały

istnieć. Na terenie Siedlec Niemcy umieścili sztyl z napisem: Tu niegdyś były Siedlce...

Jako curiosum podaję, że zniszczeń tych dokonywali Niemcy z samolotów »Junkers« co znaczy szlachcic, a Anglicy bombardują Niemcy samolotami »Beaufighter«, co znaczy uprzejmy szermierz.

*

Na czym polega działanie miny w ziemi?

Nasza instrukcja saperowska mówi, że jeżeli mina wybuchnie głęboko w ziemi, to zauważymy, że w środowisku jednorodnym po wybuchu miny tworzy się tak zwana komora ciśnienia, z której będą wyparte za pomocą ciśnienia gazów wszystkie cząsteczki tego środowiska.

Ciśnienie gazów wybuchowych będzie się rozpowszechniało coraz dalej, warstwami współśrodkowymi, stale się zmniejszając.

W określonej odległości od komory ciśnienia, cząsteczki tego środowiska będą skruszone, dalsze zaś zgniecione i połamane. Przestrzeń tej kształtu kulistego jest sferą działania miny. Promień tej sfery ma nazwę promienia działania miny.

Poza sferą działania cząsteczki tego środowiska ulegają tylko do określonej granicy wstrząśnieniu. Granica ta w postaci kulistej tworzy sferę wstrząsu, poza którą nie przejawia się działanie miny; moment ten jest bardzo poszukiwany przez saperów — celem wysadzenia podkopu minerskiego, prowadzonego od strony nieprzyjaciela.

Jeżeli mina lub bomba lotnicza (ta ostatnia nie przenika głęboko ziemi z powodu małej szybkości) znajdzie się bliżej powierzchni ziemi i wybuchnie, ujawni się działanie zewnętrzne to znaczy powstanie lej, ponieważ będzie ona miała w kierunku powierzchni mniejszy opór.

Przy padaniu bomby rozróżniamy trzy działania: działanie odłamków, podmuchu i wyrzucenie zawartości leja.

Działanie odłamków jest bardzo skuteczne przeciwko celom żywym i przedmiotom kruchym. Przeciw obiektom o większej odporności skuteczność odłam-

ków jest bardzo nieznaczna. Odłamki uszkodzić mogą mur, lecz go nie obalą, mogą jedynie zniszczyć dach lub powybyjać szyby.

Efekt podmuchu jest efektem głównym. Czy bomba upadnie wewnątrz domu czy obok, podmuch obali mury, zniesie dachy, a bomba o bardzo dużej sile zniszczy na większej odległości okna, dachy i szyby.

Wreszcie trzecie działanie: wyrzucenie materiałów z leja, widoczne przy każdym wybuchu. Efekt jego jest nieznaczny, z powodu małej szybkości i dlatego np. 10 mtr. sześć. zawartości leja od bomby 200 kg. nawet nie obali muru.

Wiemy, że istnieją bomby z zapalnikiem czasowym i natychmiastowym; działanie tych bomb nie jest jednakowe.

Bomba z zapalnikiem czasowym, gdy głęboko wejdzie w ziemię, lub spadnie na dom, wybuchu zazwyczaj po 1/100 sekundzie, wybuchając zużyje ona wiele energii na wyrzucenie ziemi, względnie na zburzenie domu. Dalsze jej działanie będzie bardzo słabe. Po wybuchu wysyłało się potrzebną ilość robotników, którzy zależnie od stopnia zniszczenia naprawiali szkody lub usuwali gruzy. W ten sposób w krótkim czasie nie było widać żadnych szkód. Obecnie szkody są większe. Niedawno komunikaty donosiły, że do jednego miasta w Zagłębiu Rury wysłano aż 35.000 robotników do usuwania gruzów.

Bomby z zapalnikiem natychmiastowym działają w przeciagu 1/1000 sekundy, a więc zdołają jedynie zanurzyć się w ziemię na głębokość od 10 do 20 cm.

W czasie bombardowania miasta P. upadły w pewnej dzielnicy dwie bomby o jednakowej sile, jedna bomba upadła w ogrodzie na grunt miękki, druga na ulicy o betonowym chodniku. Pierwsza, zrobiła lej o znacznej wielkości a szkody nieznaczne, natomiast szkody od drugiej bomby były większe i na przestrzeni dwa razy większej od szkód spowodowanych przez pierwszą bombę.

Na początku 1940 roku przed rozpoczęciem wojny powietrznej, hydroplan niemiecki, który rzucał miny magnetyczne z zapalnikiem natychmiastowym wzdłuż brzegów Anglii, był zestrzelony przez artylerię angielską i spadł na małe miasto przybrzeżne. Skorupa miny magnetycznej była tak skonstruowana, że mogła wytrzymać uderzenie o ziemię. Według komunikatu brytyjskiego bomby tego samolotu spowodowały znaczne szkody. Liczba zabitych przekroczyła kilkaset osób, a przeszło sto domów zostało zburzonych względnie uszkodzonych. Bomby te nie zrobiły dużych lejów, ponieważ cała siła wybuchu była skierowana na podmuch.

Skorupa bomby jest ściśle związana z zapalnikiem. Zapalnik z opóźnieniem wymaga, ażeby skorupa bomby mogła przeciwstawić się uderzeniu o ziemię lub o ścianę budynku. Jeśliby bomba (skorupa) zdeformowała się lub została uszkodzona, eksplozja byłaby słaba, niekompletna. Bomba z zapalnikiem natychmiastowym, której zadaniem nie jest przeniknięcie w ziemię, ma skorupę lekką z cienkiej blachy, a więc jest lżejsza i może mieć więcej materiału wybuchowego.

Pocisk artyleryjski jest ściśle związany z kalibrem działa. Samolot zaś może zabrać bomby różnej wielkości.

Wszystko to wskazuje, że burzenie miast przy pomocy lotnictwa jest dogodniejsze i przy tym prawie że nie jest związane z odległością. Obecnie wyższe dowództwa wolą bombardować miasta przy pomocy lotnictwa aniżeli pociskami artylerii. Celowanie w samolotu zrobiło wielkie postępy. Przed tym stała też na przeszkodzie i mała nośność samolotu, teraz nośność znacznie została powiększona.

W roku 1940 »Luftwaffe« wyrzuciła na miasta Anglii 9.000 tonn bomb w przeciagu jednego miesiąca. Obecnie podczas jednego nalotu angielskiego rzuca się po 2.000 tonn, czyli 200 wagonów bomb a 10 tonn.

U FRANCUZÓW W BUDAPESZCIE

Dziennik węgierski »Népszava« w krótkim repotażu zaznajamia swoich czytelników z życiem przebywających w Budapeszcie uchodźców francuskich.

Zimnym, mglistym grudniowym wieczorem zagłędamy do małej restauracji. Od jednego z marmurowych stolików dobiegają dźwięki mowy francuskiej. Rozględamy się. Prawie wszędzie dokoła mówią po francusku. Po dwóch minutach już jesteśmy pewni, że takim akcentem mogą mówić tylko rdzenni Francuzi.

Uściski rąk i uśmiechy na twarzy pokazują aż nadto jacy szczęśliwi są ludzie, którzy od lat będąc oddaleni od swojej ojczyzny — mogą poznać kogoś, kto dobrze włada ich językiem.

Rozmowcy nasi pochodzą z tej uroczej i bogatej części kraju która w znacznej mierze otoczona jest granicami naturalnymi, a więc: Oceanem Atlantyckim,

Morzem Śródziemnym i pasmem Gór Pirenejskich. Przebywają na Węgrzech od mniej więcej dwóch lat. To wszystko o czym można mówić z nimi. Ani słowa o smutnym losie, o ciekawych przeżyciach i przygodach. Bardzo mało również wspominają o tym, co się stało, gdy ich jako żołnierzy Republiki Francuskiej powołano pod broń, powierając obronę linii Maginota. Niechętnie też mówią o chwilach przeżytych do czasu, gdy będąc zmęczonymi i złamanymi, zgłosili się zgodnie z zasadami honoru żołnierskiego na pierwszej węgierskiej placówce granicznej.

Więcej już rozmawiają o wrażeniach węgierskich o swoim życiu o doświadczeniach i obserwacjach. Najciekawsza sprawa, że doskonale znają położenie naszego kraju tak pod względem geograficznym, historycznym jak i społecznym. Przecież to istna ironia losu, jeśli

zważyć, że po pierwszej wojnie światowej najwięcej zarzucaliśmy pod tym względem właśnie francuskiej opinii publicznej.

I teraz od paru lat żyje między nami kilkuset Francuzów. Pracują, odpoczywają i żyją z lękiem o los daleko mieszkających rodzin. Zwracają się ku nam, wykazując żywe zainteresowanie i słynny francuski «esprit». Interesują się nami częściowo dlatego, bo tu są, zmuszeni być, częściowo z wdzięczności za to, że czynniki urzędowe potraktowały ich po ludzku, odpowiednio do przepisów prawa międzynarodowego. Studiują nas. Spostrzeżenia ich są niezwykle trafne jakkolwiek łatwo da się u nich zauważyć łacińską pasję i temperament. Żyć będą u nas dopóki nie skończy się na kontynencie wojna i zwycięskie mocarstwa nie zadecydują o ich losie. W międzyczasie mają zabezpieczone istnienie i wymogi życia kulturalnego. Pomaga im poselstwo francuskie

i wielu węgierskich przyjaciół Francji. Znaleźli możliwości pracy. Nic zawsze znajdują pracę odpowiadającą ich zdolnościom, wykształceniu i wiedzy, mimo to nie narzekają. Poza pracą, rozrywką i troskami codziennymi dwie sprawy najbardziej absorbują ich myśli: kiedy będzie koniec wojny i czy poczta przyniesie list z domu.

Siedzą tu zarówno francuscy robotnicy jak i inteligenci — rozmawiają, a szybka ich mowa na tle klębow dymu papierosowego milknie czasem. Wpadają w zamyślenie. Wspominają bretońską wioskę rybacką, port normandzki, lyońskie osiedle fabryczne, Quartier Latin, Morze Śródziemne, prowincję pirenejską największą troską jaka ich do głębi przejmuje i mimowoli ciśnie się na język jest: jaką Francję nam zwrócą? jaką będzie Francja gdy wrócimy do domu? Czy rzeczywiście pójdziemy do «domu» — do Francji?

J. REYCHMAN

Idea federacyjna w dziejach Polski

Rozwój państwowy Polski od XIV. w. szedł nie drogą podbojów, ale specyficzną drogą scalania terytoriów z zachowaniem całej ich regionalnej odrębności. Z praktyki tej wytworzył się nowy system polityczny łączący poszczególne obszary całej wielkiej przestrzeni między Bałtykiem a Morzem Czarnym w wielkie bloki narodów, równych sobie, zjednoczonych, sfederowanych dla wspólnego dobra. Unia z Węgrami za Ludwika Wielkiego, niestety krótkotrwała, ale wznowiona znów przez panowanie Władysława Warneńczyka na Węgrzech, a pośrednio reprezentowana dalej czy to przez panowanie sekundogenitury jagiellońskiej na Węgrzech (1490—1526) czy to przez panowanie władcy siedmiogrodzkiego Stefana Batorego na tronie polskim, koncepcje unii z Czechami za Jagiełły, czy Witolda (namiestnictwo Zygmunta Korybuta), a następnie rządy Władysława i Ludwika Jagiellonów w Czechach, śmiałe koncepcje Żółkiewskiego o osadzeniu królewicza Władysława na tronie moskiewskim na początku XVII. w. — to są szersze przejawy tej wielkiej idei bloków na międzymorzu Bałtycko-czarnomorskim. Ścisłejsze jej objawy — to owe unie. Ten jedyny rodzaj inkorporacji czy złączenia, nieznanego nigdzie indziej. Od przyłączenia Rusi Czerwonej w połowie XIV w., z zachowaniem odrębnej jej samodzielności poprzez unię z Litwą, związek z Prusami Zachodnimi i sołdowanie Wschodnich (1466), niedoszły protektorat nad zagrożoną przez Tatarów krymską Kaffą geneueńską, po przez sołdowanie Mołdawii, Wołoszczyzny czy Besarabii aż po dobrowolne poddanie się Inflant pod zwierzchnictwo Polski (1561), ciągnie się nieprzerwana nić wysiłków stworzenia pewnej potężnej federacji z tych wszystkich ludów, które same za słabe były aby obronić się przed zakusami wroga z tej czy z tamtej strony, ale które razem wszystkie tworzyły potężną zaporę dla cudzej ekspansji, zapewniając pokój i dobrobyt położonym w tym obszarze ludom.

Jakie są cechy charakterystyczne tej całej koncepcji. Z jednej strony jest dobrowolność samego związku — narody nie były podbijane przez Polskę, ale same prosiły Polskę o opiekę, zwierzchnictwo, czy wejście do jej związku — z drugiej zaś strony zupełna swoboda, zrównanie w prawach i przywilejach, zachowanie wszystkich wolności tych ziem, poszanowanie ich odrębności. Nie było panów i podbitych, tylko «wolni z wolnymi — równi z równymi». Jedno było w ścisłym związku z drugim i wolność, którą miała Polska u siebie działała atrakcyjnie i na obcych, którzy uciekając spod przemocy, despotyzmu, udawali się pod opiekuńcze skrzydła Polski, i znajdowali tam wolność i swobodę.

Wytwarzał się wielki blok, gdzie obok Polaków żyli przy zachowaniu równych praw swobod czy przywilejów, we wzajemnym szacunku Litwini, Rusini, Prusacy, ba nawet osadnicy tatarscy, Ormianie, pasterze wołoscy, Cyganie, żydzi — katolicy, unicy, schizmatycy, dysydenci czy muzułmani, rozmaite narody, rasy czy wyznania, tworząc wspólną zgodą, wzajemnym szacunkiem i współpracą podstawy pod potęgę Rzeczypospolitej. Proces ten — jak to słusznie niedawno jeden z pisarzy szwajcarskich zauważył — miał dużo analogii do dziejów powstania konfederacji szwajcarskiej, równie opartej na wspólnym umiłowaniu wolności, wspólnej odrzezie do despotyzmu i wspólnym szacunku dla wzajemnych wartości wszystkich, wchodzących w skład konfederacji Narodów.

Proces federacyjny zainicjowany przez Polskę imieniu polskiemu przyspożył dużo chwały i pamięci. «Tymbardziej ten rodzaj łączenia terytorium w jedną spójną całość może być Polski dumą» — pisze w swej pracy o społeczno-państwowych ideach dawnej polski wybitny historyk ustroju St. Kutrzeba — «że nie miała ona pod tym względem żadnych przykładów, żadnych wzorów... A o unii polsko-litewskiej znany historyk niemiecki Caro

mówił, że »Zjazd w Horodle przyłożył pieczęć do takiej unii narodów jakiej nie napotkać w całej historii Europy...«

Idea ta mimo zmieniających się warunków wciąż żyła i w następnych okresach dziejów Polski. Jej wyrazem są śmiałe koncepcje wielkiego kanclerza Zamojskiego federacji polsko-siedmiogrodzko-wołoskiej, po stu latach znów podjęte przez Sobieskiego, w jego planach osadzenia któregoś z królewiczów na tronie mołdawskim i w niedoszłym protektoracie polskim nad Siedmiogrodem, gdy 14 maja 1678 poseł siedmiogrodzki László Vajda donosił Sobieskiemu że »pragniemy i my wszyscy i biedny kraj do patrociniom miłościwego króla polskiego i Rzeczypospolitej być przyłączonymi i uznać go za patrona i protektora...« Jakie w tych słowach odbija się echo takich samych próśb o wzięcie pod opiekę składanych przez Prusy, Kurlandię, Krym genueński, Psków czy Nowogród...

Wyrazem tej idei są dalej dalekosiężne projekty organizacji Europy Wschodniej Władysława IV. i jego światłego kanclerza Jerzego Ossolińskiego, plany, które spowodowały, że ku Polsce obracać się zaczęły oczy uciskanych Serbów czy Bułgarów, których arcybiskup Piotr Parcewicz przybywa w r. 1646 do Polski, aby lud swój polecić opiece króla polskiego. Jej wreszcie wyrazem są i próby zorganizowania na zasadzie federacyjnej współpracy z Ukrainą, przez udzielenie w umowie hadziackiej (1659) kozactwu takiego samego rodzaju potrójnej unii, trójczłonowej federacji polsko-litewsko-ukraińskiej. »Umo wa hadziacka« — pisze znany historyk St. Zakrzewski — »bez względu na to, że w zakresie*pozytywnej polityki została na papierze, ze stanowiska ideowego zasługuje na osobne miejsce obok unii lubelskiej. Na długo przed pomysłami równości i samorządu narodów XIX w., kreśliła ta umowa program państwa opartego na państwowym równouprawnieniu narodów wchodzących w jego skład...«

Przygasła w okresie upadku polskiej myśli państwowej i rozbiorów idea zorganizowania przez Polskę pokojowego współżycia narodów Europy Południowo-wschodniej za zasadzie federacyjnej znów odżywa na emigracji po 1831 r. Z jednej strony prądy narodowościowe, budzące do nowego życia ludy dotychczas żyjące pod uciskiem austriackim czy tureckim, z drugiej zaś potrzeba stworzenia nowego systemu, który by zapewnił Polsce bezpieczeństwo, kieruje znów najwybitniejsze umysły polityczne Wielkiej Emigracji ku idei federacyjnej. Jej najwybitniejszym przedstawicielem jest ks. Adam Czartoryski. O tych jego planach mówi węgierski historyk J. Thim w artykule »Die Balkankonföderationspläne« w nr. 1 budapeszteńskiego czasopisma »Donaeuropa« z 1942. »Próbował on pozyskać dla tej federacji południowych Słowian, Węgrów, Rumunów, nawet Ukrainę i Kaukaz. Przed wszystkim chciał on zjednoczyć wszystkich Słowian południowych pod zwierzchnictwem Wysokiej Porty i w tym celu wszedł w kontakt z serbskim ministrem E. Garaszaniem. Garaszaniin podjął w r. 1844 plan państwa południowo-słowiańskiego, który to plan był wskaźnikiem dla polityki serbskiej aż do pierwszej

wojny światowej...« Węgierski historyk zupełnie niedwuznacznie przypisuje Czartoryskiemu autorstwo idei federacji południowo-słowiańskiej, realizowanej, następnie w koncepcji Jugosławii. Ideologia polska zapładniała więc swoją koncepcją i środowiska polityczne innych narodów. To samo znajdujemy i na przykładzie naddunajskich planów federacyjnych Czartoryskiego podjętych w r. 1848. »on (Czartoryski) jak i Bem wierzyli w możliwość urzeczywistnienia federacji naddunajskiej«, — mówi w tym samym artykule J. Thim — »do czego warunkiem wstępnym byłoby porozumienie Węgrów, Rumunów i południowych Słowian, i do czego Wysoka Porta również byłaby pozyskana...« Wyrazem starń Czartoryskiego o zrealizowanie tej federacji są próby pośredniczenia podjęte z jego inicjatywy między Chorwatami czy Serbami a Węgrami, czy przez Bema między Rumunami a Węgrami, oraz przez Czartoryskiego zwołana w Paryżu konferencja polsko-czesko-węgierska, która doprowadziła do spisania 18 maja 1849 znanej umowy t. zw. »Czartoryski — Rieger-Teleki«, przewidującej utworzenie z monarchii habsburskiej wielkiej federacji narodów. Koła rządowe na Węgrzech początkowo do tych koncepcji Czartoryskiego odnosiły się z rezerwą, ale po interwencji rosyjskiej i one zaczęły się skłaniać do polskiej tezy. »Pod wrażeniem interwencji rosyjskiej« — mówi J. Thim — »zaczął się Kossuth skłaniać do planu konfederacji naddunajskiej Czartoryskiego...« W związku z tym było wysłanie Juliusza Andrássego z projektami konfederacyjnymi do Turcji oraz uchwalenie równouprawnienia narodowości przez parlament w Szegedzie już u schyłku powstania.

Jeszcze bardziej zbliżył się Kossuth do federacyjnych pomysłów Czartoryskiego na emigracji w Turcji po nieszczęsnym końcu powstania. Jak mówi znów J. Thim »za radą polskich emigrantów i angielskiego publicysty K. F. Henningsena, który jeszcze przed rewolucją, w interesie Anglii, propagował środkowo-europejską federację przeciw Rosji, przyjął on znów te plany...« Wtedy zaczął szerzyć do dziś wśród Węgrów popularną ideę federacji naddunajskiej, której wierny pozostał do końca życia w swej samotni turyńskiej, a której polskie autorstwo oprócz Thima uznają i inni węgierscy historycy tych czasów jak Szekfü, Jánossy, Lengyel i in. Widzimy więc jak myśl polska wywarła swój wpływ na koncepcje federacyjne u obcych czy to u południowych Słowian czy to Węgrów.

Koncepcja federacyjna znajdowała zwolenników we wszystkich kołach emigracji; jej wyrazem były pewne pomysły unii ukraińskopolskiej Czajkowskiego w okresie tworzenia Kozaków Sułtańskich przy boku Turcji w 1855 oraz cała plejada pism tej idei poświęconych, czy przez tę ideę inspirowanych jak »Le Polonais« Platera, »La Pologne« aż do »Zmowy« Medekszy z lat siedemdziesiątych propagującej federację polsko-litewsko-ukraińską. Pod wpływem polskiej idei federacyjnej pozostały i obce temu poświęcone ośrodki jak »Società per l'alleanza italoslava« wielkiego propagatora tej idei Tommaseo w Turynie i Wenecji w r. 1848 czy »L'Alleanza«, pismo Helfy'ego i Kossutha w Mediolanie w latach sześćdziesiątych.

I w kraju pomysły federacyjne miały wielu zwolenników co uwidoczniła ideologia »bractwa św. Cyryla i Metodego« z lat czterdziestych w Kijowie; dalsze odbłaski tych samych koncepcji, widzimy w »Złotej Hramocie« z 1863, w traktacie polsko-węgierskim z 1864 i równoczesnych rozmowach z Chorwatami, Serbami, wreszcie w szlachetnej postaci Konstantego Kalinowskiego, budziela ludu białoruskiego i jego przywódcy we wspólnej Białorusinów z Polakami walce przeciw ciemiężcy, przeciw despotyzmowi carskiemu w r. 1863.

Znów zamarła w ciemnych chwilach polityki narodowej polskiej na przełomie XIX i XX w idea federacyjna jeszcze raz zamartwywstaje po odbudowie Polski. W niedawno wydanym węgierskim wydawnictwie urzędowym pod redakcją Déaka i Ujvarégo »Papers and Documents relating to the Foreign Relations of Hungary 1919—1920« (Budapest 1939), na podstawie raportów dyplomatów węgierskich, mowa jest o całym szeregu tego rodzaju projektów polskich np. plan »Centralnej Europy« Piltza lub »blok transwersalny« Sapięhy. Znane były t. zw. belwederskie koncepcje federacyjne, szerzone przez pismo »Przymierze« z 1920—1921.

Druga wojna europejska i postawione przez nią problemy znów wysunęły na czoło zagadnień projekty

federacyjne, których wielkim zwolennikiem był tragicznie zmarły Wódz Naczelny.

Idea federacyjna była zawsze w polityce polskiej dowodem jej szerokiej horyzontów, jej twórczych pokojowych zdolności. Koncepcje, te przeznaczone były zawsze do pokojowego organizowania współzycia sąsiednich ludów. Dowodem głębokiej wartości projektów polskich było korzystanie z nich przez obcych, którzy — jak to widzieliśmy na przykładzie węgierskim czy jngosłowiańskim — podejmowali polskie koncepcje aby je dalej rozwijać i szerzyć.

Poza organizacją współzycia na obszarach sąsiednich myśl polityczna polska żywo zajmowała się zawsze i organizacją pokoju i współzycia wszystkich narodów świata. Od świątliwych projektów pisarzy politycznych polskich XVI w., poprzez, o 200 lat wyprzedzające Ligę Narodów, koncepcje Stanisława Leszczyńskiego aż po szlachetne uwagi Adama Czartoryskiego i śmiałe projekty Stefana Buszczyńskiego, myśl polska zawsze pracowała nad rzuceniem podstaw pod nową organizację współzycia wszystkich narodów świata, organizację, w której by zasady równości i sprawiedliwości, na których opierała się zawsze ideologia wewnętrzna Rzeczypospolitej, znalazły realizację i w polityce międzynarodowej.

ARKADY FIEDLER

3)

UCIECZKA Z KAOLAKU

Okazało się, że Fundium było już zaalarmowane. Na brzeg wyległa masa urzędników i żołnierzy, na rzekę wypłynęła motorówka z dwoma białymi i z kilkoma murzynami. Ci, podpływając pod »Wrocław«, zaczęli krzyczeć i dawać gwałtowne znaki, by statki się zatrzymały.

Statki nie zatrzymały się i puły wodę jak szalone. Przy broni, zwróconej w stronę łądu i motorówki, marynarze zajmowali groźną postawę. Gotowi byli każdej chwili, za łada prowokacją otworzyć ogień. Ich stalowe hełmy miały wojowniczą wymowę.

Tymczasem ludzie na motorówce darli się w niebogłoso, ludzie na brzegu zaczęli również wrzeszczeć. Wymachiwali frenetycznie wielką jak żagiel banderą francuską, i jeden z nich, kierownik urzędu celnego, w imieniu Francji żądał piorunującym głosem zatrzymania się statków.

Czarni żołnierze, na szczęście, nie oddali strzału, i ta ich powściągliwość ratowała sytuację. Zato tym bardziej krzyczeli. Wogóle brzeg przypominał trochę końcową scenę jakiejś opery. Był tam patos i pompa, były wielkie gesty i wybuchy gniewu i spazmy. Były również i aktorki. Kilka białych kobiet wychylało się z okien budynków i one — o przyjemne dziwo! — w przeciwieństwie do mężczyzn, nie były wrogie Polakom: przyjaźnie powiewały ku statkom chustkami, kaskami, czymkolwiek bądź. Ten i ów z »Wrocławia« odpowiadał im szarmancko.

Statki mijaly Fundium. Gdy widział to czarny chorąży popadł w rozpacz i ni stąd ni zowąd rzucił dramatycznym gestem francuską banderę na ziemię. Tego nie wytrzymał na »Wrocławiu« murzyn-pilot obywatel Dakaru. Porwał go ogólny nastrój egzaltacji.

— Biedna, biedna Francjo! — zawył z wysokości mostku.

Po chwili, obrzucając »Wrocław« spojrzeniem pełnym oskarżenia, jak gdyby statek był temu winien, dodał ponuro i wyniośle:

— La France est morte! . . .

Jak słuchy niosą, podobna z taką konkluzją nie zgadzał się drugi oficer Mrozowski, który w dowód udzielił pilotowi tegiego kopniaka w siedzenie. Na to:

— Pardon! — przeprosił skromnie pilot, stracił patos i już nadal prowadził statek sumiennie i bez uniesień.

Pozostało jeszcze najniebezpieczniejsze miejsce, o godzinę jazdy poniżej Fundium, ujście rzeki, gdzie rzekomo była ukryta bateria artylerii. Lecz bateria milczała. Nikt z brzegu nie strzelał. Być może że dotarły tu z Fundium wyolbrzymiałe meldunki o uzbrojeniu zuchwałych desperatów. Raczej jednak tłumaczyć sobie to wypadało ogólnym chaosem i rozluźnieniem karność we francuskiej kolonii. Gdy statki wyszły wreszcie na pełne morze, morze było czyste: Dakar nie wysłał żadnego okrętu czy bombowca.

. Odnowa owiała ich mocna, słona bryza. Piersi,

jakby uwolnione od ciężaru, nabierały wiatru, głębokim, pełnym oddechem.

— Patrz! — zawołał wzruszony kucharz „Opola” do stewarda. — Patrz na naszą banderę!

Bandera rozpięła się szeroko w bryzie i furkotała znów z radośną zapalczewością. Po dwóch tygodniach ciszy ożywa z nieprzepartą siłą.

— Dobry znak! — osądził steward. — K.

Urwał. Opamiętał się. Nie przystało używać tu codziennego słowa.

Gdy statki zwracały się na południe, ku angielskiej kolonii historia ich żywota była bogatsza o doniosły czyn: garstka marynarzy ocalała od zagłady skrawek niepodległego terytorium polskiego, którego w owych ciężkich dniach pozostało tak mało a które przecież wtedy było tak niepomiernie drogie i cenne.

X

W Bathurst, porcie brytyjskiej kolonii Gambii, przywitano ich ze zdumieniem i nieledwie z wrogą podejrzliwością. Ucieczka obydwóch statków z głębi kolonii francuskiej nie mogła pomieścić się w tamtejszych umysłach, tym bardziej, że z kilkunastu brytyjskich statków, będących w podobnych tarapatkach w Dakarze żaden nie zdołał uciec.

Gdy w kilka dni później oba zawitały do Freetown

i kapitan Jędrzej zameldował się w Naval Control Office ten sam wyższy oficer, który miesiąc temu udzielał mu moralnych nauczek, przywitał go z niewyraźną miną.

— Well, well — rzekł na wstępie jakby tłumacząc się, — w ciągu ostatniego miesiąca sytuacja wielce się zmieniła . . .

Kapitan Jędrzej nie mógł powstrzymać się od malej złośliwości.

— Absolutnie nic się nie zmieniła!

— I beg your pardon?!

— Brytyjskie statki, wysłane bez obawy — jak pan twierdził — do Dakaru, niezmiennie tam, pozostają . . .

Oficer przygrzył wargi.

Wiceadmirał D'O. L., głównodowodzący na Atlantyku południowym, człowiek zarówno rozumny jak sprawiedliwy, nie ukrywał swego zachwytu: był to już szósty polski statek, który w ostatnich dwóch tygodniach wyrwał się na wolność z portów francuskich w Afryce. Admirał cenił wysoko nie tylko morską sprawność, lecz i niezwykłą determinację, jaką wyróżniali się w akcji polscy marynarze, wyróżniali się nawet — nie omieszkał tego podkreślić admirał — nawet spośród marynarz o starszej tradycji żeglarskiej i o większym, zdawałoby się, doświadczeniu morskim.

(»Wiadomości Polskie«)

A. SPIELREIN

Regulacja ciepła naszego ustroju

Powszechnie wiadomo, że normalna ciepłota ciała ludzkiego jest niezależna od temperatury zewnętrznej i waha się w granicach od 36° do 37° C. Te normalne wahania, nie przekraczające, jak widzimy, zazwyczaj 1° ciepła są uzależnione od konstytucji ustroju, pory dnia, jakości i ilości przyjmowanych pokarmów i różnych innych czynników.

Otóż stałość temperatury naszego ustroju i jej niezależność od ciepłoty otoczenia nasuwa nam następujące 2 pytania:

1. jakimi środkami osiągamy normalną ciepłotę 37- C, oraz

2. dzięki jakim czynnikom jest ona niezależna od temperatury otoczenia.

Stałą temperaturę utrzymujemy głównie dzięki pokarmom, które, po odpowiedniej przeróbce w przewodzie pokarmowym, przenikają w postaci soków odżywczych do krwi. Krążąc wraz z krwią po całym ustroju, część ich, tworząca łatwy do utleniania materiał palny, odkłada się głównie w komórkach mięśni i narządów wewnętrznych.

Równoległe z odkładaniem się w tych komórkach materiału palnego, tlen z powietrza, poprzez płuca przenika do krwi i wraz z nią do wszystkich komórek ustroju. Mamy więc w komórkach odpowiednio przygotowane do łatwego spalania (utleniania) produkty

spożywcze, mamy też i tlen. Proces połączenia się materiału palnego z tlenem, t. j. proces utleniania, jest to t. zw. wewnętrzne spalanie w komórkach naszego ustroju. To spalanie odbywa się stale z mniejszą lub większą intensywnością, z mniejszym lub większym przyspieszeniem, w zależności od każdorazowej potrzeby ustroju i jest regulowane automatycznie (t. j. niezależnie od naszej woli) przez urządzenia, które poniżej zostaną opisane.

Wskutek stałego spalania rozwija się w ustroju pewna stała ilość ciepła. Jest to ciepło chemiczne, gdyż powstaje na tle procesów przemiany chemicznej różnych środków spożywczych z ostatecznym procesem ich utleniania. Poza tym wewnątrz ustroju wytwarza się również duża ilość ciepła mechanicznego, powstającego na skutek pracy mięśni, pracy serca i innych narządów.

Pozostaje teraz do wyjaśnienia kwestia, jakim sposobem temperatura naszego ustroju jest utrzymywana na stałym poziomie, niezależnie od temperatury otoczenia. W tym celu posiadamy 2 grupy urządzeń, regulujących automatycznie poziom naszej ciepłoty.

Pierwsza grupa reguluje temperaturę ciała przeciw nadmiernemu ogrzaniu, np., latem lub w gorącej kąpieli, w czasie pracy, albo też po obfitym posiłku. Druga grupa regulatorów ma nadzór nad stałością naszej ciepłoty przy nadmiernym ochłodzeniu, np. zimą, lub w zimnej kąpieli i t. p.

Regulacja przeciw nadmiernemu ogrzaniu odbywa się w ten sposób, że ogrzana na swej powierzchni skóra wywołuje podrażnienie znajdujących się w mózgu ośrodków nerwów naczynioruchowych (roślinnych), rozszerzających naczynia. Następuje zatem rozszerzenie się krwionośnych naczyń skóry. Tym samym powierzchnia krążącej krwi się zwiększa. Zwiększa się więc i promieniowanie nadmiernego ciepła. Drugim czynnikiem, skutecznym przeciw nadmiernemu ogrzaniu są poty: parowanie ich na całej powierzchni ciała prowadzi do wybitnego ochłodzenia ustroju.

Przeciw nadmiernemu ochłodzeniu służą następujące urządzenia regulacyjne: popierwsze skóra, jako zły przewodnik, nie przepuszcza ciepła z ustroju. Poza tym ochłodzona powierzchnia ciała również wywołuje podrażnienie ośrodków nerwów roślinnych naczynioruchowych lecz w tym przypadku naczynia się kurczą, zmniejszając powierzchnię krążącej w nich krwi i zabezpieczając w ten sposób ustrój przed zbyt dużym promieniowaniem ciepła.

Poza tym przed zbyt dużym ochłodzeniem chroni nas znane wszystkim uczucie »drżenia z zimna«. Polega to na rytmicznym kurczeniu się mięśni. A więc, mięśnie pracują, dzięki czemu wytwarza się w ustroju ciepło, uzupełniające braki, powstałe na skutek ochłodzenia.

Wszystkie powyższe środki regulacyjne działają doraźnie, na niedaleką metę. Przy trwałych zmianach temperatury okazałyby się one niedostatecznymi i rolę uzupełniających regulatorów w tych przypadkach przyjmują na siebie hormony.

Wiadomo, że nasz organizm jest wyposażony w t. zw. gruczoły wydzielania wewnętrznego. Są to gruczoły, które wydzielają bezpośrednio do krwi pewne soki, zwane hormonami. Soki te, krążąc we krwi, współpracując z nerwami roślinnymi, stoją na straży harmonijnej i sprawnej czynności naszego ustroju. Otóż jeden z tych gruczołów, zwany tarczycą, przy współudziale drugiego gruczołu, zwanego przysadką mózgową, przyjmuje duży udział w regulacji cieplnej przeciw ochłodzeniu.

Wiadomo, że tarczyca wydziela hormon, zwany tyroksyną. Najnowsze badania wykazały, że przy przejściu ustroju do zimnego otoczenia, wydzielająca się z tarczycy tyroksyna podrażnia przysadkę. Pod wpływem tego podrażnienia, z przysadki wydziela się hormon, który natychmiast pobudza komórki spoczywających mięśni do przyspieszonego spalania. A więc dzięki temi hormonowi komórki mięśniowe, nie ulegając drżeniu, produkują ciepło. Jest to urządzenie bardzo celowe, gdyż chroni nas często od nieprzyjemnego uczucia drżenia, które staje się b. dokuczliwe w czasie mrozu. Gdy jednakże to wzmożenie się spalania w spoczywających mięśniach okazuje się niewystarczającym, wtedy dopiero występuje drżenie mięśni, produkując tym sposobem wewnątrz ustroju ciepło, idące na pokrycie utraconego ciepła.

Poza tym dzięki najnowszym badaniom stwierdzono, że po 24-godzinnym przebywaniu w chłodnym otoczeniu następuje pod wpływem wydzielającej się do krwi tyroksyny intensywne i stałe wzmożenie się utleniania (spalania) w narządach wewnętrznych (w wątrobie, nerkach i t. p.). Proces ten również wyzwala dużą ilość

ciepła, jest b. długotrwały i chroni nas często, choć bezwiednie, od dokuczliwego uczucia zimna.

Widzimy więc, że automatyczna regulacja cieplna naszego ustroju dla ochrony przeciw ochłodzeniu zaczyna się natychmiast po oziębieniu ciała i jest dobrze zabezpieczona na wypadek krótkotrwałego oziębienia, jak również i w tych przypadkach, gdy jesteśmy zmuszeni, np. zimą, przebywać w chłodnym otoczeniu przez dłuższy okres czasu.

Co się zaś tyczy hormonalnej regulacji przeciw nadmiernemu przegrzaniu najnowsze odkrycia w tej dziedzinie dały rewelacyjne wprost wyniki.

Profesor uniwersytetu w Péc's Dr. S. Mansfeld, pracujący doświadczałnie 30 lat nad czynnością tarczycy, opublikował w bieżącym roku wyniki swej pracy p. t. »Die Hormone der Schilddrüse und ihre Wirkungen«.

Otóż dotychczas panował pogląd, że latem i w ogóle pod wpływem ciepłego otoczenia z tarczycy wydziela się tyroksyna w zmniejszonej ilości, co prowadziłoby miało celowo do zmniejszonego utleniania w komórkach mięśniowych, a więc do zmniejszonego ogrzewania się ustroju. Ta teoria jednakże została przez prof. Mansfelda obalona. Stwierdził on niezbicie, że tyroksyna wydziela się z tarczycy również i latem w zupełnie niezmnieszonej ilości lecz, co go zastanowiło, nie działa ona latem na mięśnie tak skutecznie jak zimą, t. j., nie przyspiesza w nich utleniania. Przeprowadzając b. żmudne badania nad tym problemem, odkrył on ostatnio w tarczycy 2 nowe hormony, które zostały przez niego nazwane termotyryną cieplną (A) i termotyryną letnią (B). Te 2 hormony, wydzielając się z tarczycy do krwi, hamują, wzmagającą spalanie w mięśniach czynność tyroksyny. Zatem, gdy znajdujemy się w ogrzonym otoczeniu (niezależnie od pory roku) w tarczycy wzmagają się produkcja termotyryny cieplnej i ciało to przenika do krwi, roznosząc się po całym ustroju. Pod jego wpływem czynność tyroksyny słabnie t. j. słabnie utlenianie w komórkach mięśniowych, a więc ciepło wytwarza się w ograniczonym stopniu, co chroni ustrój od zbyt dużego przegrzania.

W letniej porze roku tarczyca produkuje termotyrynę letnią. Krążąc we krwi, hamuje ona latem czynność tyroksyny, a więc hamuje tym samym produkcję ciepła w ustroju w okresie letnim.

Nie ma potrzeby wyjaśniać jak celową jest czynność obydwu tych hormonów przy regulacji cieplnej przeciwko ogrzaniu.

Hormon cieplny został odkryty przez prof. Mansfelda we krwi i tarczycy zwierząt, przebywających dłuższy czas w ogrzonym pomieszczeniu. Hormon letni udało mu się wydobyć z krwi i tarczycy w porze wiosennej. Są to ciała chemiczne, które można obecnie otrzymywać w stanie krystalicznym. Wprowadzenie tych ciał dożylnie w rozcieńczeniu kilkumiligramowym wywołuje u szczura gwałtowne zahamowanie spalania z dużym spadkiem ciepłoty.

Widzimy więc, że regulacja cieplna przeciw przegrzaniu działa również niezwykle sprawnie; działanie jej rozpoczyna się natychmiast po przegrzaniu ustroju i jest dobrze zabezpieczona na wypadek przegrzania

krótkotrwałego (np. w gorącej kąpeli), jak również i w tych przypadkach, gdy jesteśmy zmuszeni latem przebywać w ciepłym otoczeniu przez dłuższy okres czasu.

Opierając się na tym krótkim szkicu działania autonomicznego regulacji cieplnej, możemy słusznie twierdzić, że nasz organizm jest piecem niezwykle precyzyjnie skonstruowanym: przychodzi na świat z pewną określoną temperaturą; w ciągu kilkudziesięciu lat swego istnienia; dzięki stałemu wprowadzaniu materiału pal-

nego (pokarmy) podtrzymuje tę temperaturę na stałym poziomie, a względnie nieliczne i najburzliwsze nawet uszkodzenia (choroby) mogą wywoływać w nim nieznaczne tylko i względnie krótkotrwałe skoki temperatury, (4—6° w górę i 1—2° w dół).

Ta precyzja w regulacji cieplnej powstaje na skutek harmonijnego współdziałania wszystkich czynników regulujących, znajdujących się na usługę naszego ustroju, a głównie dzięki idealnej współpracy nerwów roślinnych z hormonami gruczołów wydzielania wewnętrznego.

Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU OBYWATELSKIEGO

Pierwsza polska szkoła zawodowa na Węgrzech

Jedną z najbardziej naglących potrzeb, jakie trzeba będzie rozwiązać w niedalekiej przyszłości w naszym kraju jest przygotowanie odpowiedniej ilości pracowników wyszkolonych zawodowo celem szybkiego objęcia opustoszałych warsztatów pracy, których uruchomienie umożliwi nam szybką odbudowę gospodarczą. W rozumieniu ważności tej sprawy, Komitet Obywatelski czyni wszelkie wysiłki, by w ramach swych możliwości organizować wśród naszych uchodźców różne kursy zawodowe celem przeszkolenia możliwie największej ilości przyszłych pracowników.

W programie tej pracy znalazło się również uruchomienie pierwszej szkoły zawodowej na uchodźstwie. Jest to szkoła ogrodniczo — handlowa w ośrodku Bény. Szkoła ta ma za zadanie wyszkolenie zastępu przyszłych kierowników samostojnych gospodarstw ogrodniczo — handlowych. Plan uruchomienia szkoły tego typu powstał już dość dawno — trzeba było jednak uprzednio pokonać szereg trudności, które wreszcie w ubiegłym roku zostały usunięte i szkole otwarto w obecności przedstawiciela Komitetu Obywatelskiego z początkiem października 1943. P

Program nauczania w tej szkole obejmuje dwa działy:

1. przedmioty ogólnokształcące jak religia, język polski i węgierski, historia, geografia, nauki obywatelskie, nauka o Węgrzech, nauki matematyczno-przyrodnicze i t. p.

2. przedmioty fachowe z dziedziny sadownictwa, warzywnictwa, kwaciarstwa, uprawy roli, hodowli zwierząt i t. p.

3. przedmioty handlowe jak rachunki handlowe, korespondencja, księgowość, nauka o handlu, spółdzielczość i t. p.

4. zajęcia świetlicowe.

Tok nauczania dzieli się na dwa okresy t. j. zimowy i letni. W okresie zimowym przeważają zajęcia teoretyczne, okres letni natomiast poświęcony jest głównie zajęciom praktycznym. W szkole kształcą się obecnie 20 uczniów w wieku 16 do 20 lat, przeważnie synów rolników. Pomieszczenie obliczone jest na 30 osób.

Szkoła prowadzona jest przez fachowe siły, co gwarantuje jej uczniom pomyślne rezultaty w nauce.

Komitet Obywatelski wydzierżawił kilka morgów gruntu ornego i oddał do dyspozycji szkoły. Umożliwił również kierownictwu szkoły założenie inspektów, uruchomienie własnej kuchni, świetlicy i t. d. Praca w tym interesującym ośrodku wre w całej pełni a jej natężenie wzrastać będzie w miarę zbliżania się pory wiosennej.

KOMUNIKATY

Komitet Obywatelski zawiadamia, że sprawa wysyłki paczek polskim jeńcom wojennym w Niemczech spoczywa w dalszym ciągu w ręku Akcji Wysyłki paczek przy Komitecie Obywatelskim w Budapeszcie. Wszelkie zapytania, interpelacje, prośby i t. p. kierować należy na adres »Akcja Wysyłki paczek przy Komitecie Obywatelskim, Budapest V., Személynök-utca 25, II. 1.«

TREŚĆ NR. 25.

L.: Droga powrotna. — Tadeusz Sokół: Przyjacielowi. — Józef Żółtaszek: Chałupnictwo. — Tadeusz Fangrat: Gwiazdka praczki. — Roman Sierociński: Pieszko do Balatonu. — Uniwersytety chińskie. — Diabeł w schronie. — Stanisław Wadlewski: Burzenie miast — Francuzi w Budapeszcie. — J. Reychman: Idea federacyjna w dziejach Polski. — A. Fiedler: Ucieczka z Kaolaku. — A. Spielrein: Regulacja ciepła naszego ustroju. — Z działalności Kom. Obywatelskiego.

«Tygodnik Polski-Materiały Obozowe» wydawnictwo kulturalno-oświatowe Komitetu Obywatelskiego dla Spraw Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech Budapest, V., Géza-utca 3.

Za wydawnictwo i redakcję odpowiada JENŐ KAJTÁR

Przedpłata miesięczna 1.20 P kwartalna 3.60 P.

Przedpłatę należy wpłacać blankietem czekowym na konto Nr. 19.062.

W sprawach redakcyjnych i administracyjnych należy zgłaszać się pod adresem: Budapest V., Alkotmány-utca 31. III. em. 11. telefon: 12—55—20.

438731 — Drukarnia artystyczno-literacka, Athenaeum S. A. pod dyrekcją: Antal Kárpáti.